



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartał. 5 marek

CARPE DIEM!

Carpe diem! Biada tobie,
Jeśliś przeżył wiek w nicości
I legł wczesnie w ciemnym grobie,
Gdzie odwieczny spokój gości!

Biada tobie, jeśliś, młody,
Nie szybował myślą w górze,
Nie szedł z tłumem gwiazd w zawody,
Nie próbł piersi czarnej chmurze!

Biada tobie, niewolniku!
Jeśliś, życia nędzą skutu,
Wśród ciągłego ziemi krzyku
Nie usłyszał z niebios nuty.

Carpe diem! Wiek człowieka,
Krótkotrwały, szybko bieży;
Czar żywota wciąż ucieka,
Chwila zgonu wnet uderzy.

Carpe diem! Czara złota
Lśni się cała napełniona;
W niej dźwięk, siła, treść żywota;
Kto z niej pije, ten nie kona.

Pij, choć w niej się gorycz mieści:
Przez ból trzeba duchem ożyć;
Umiej znaleźć czar w boleści
I na rozkosz ból przetworzyć.

Wprząż się myślą w światów koło,
Duchem wciel się w niebios łono
I skrwawione przystroj czoło
Brylantową z gwiazd koroną.

Carpe diem! Wzmocnij siły;
Niech myśl wiecznie w czyn się wciela.
Nim dobieżysz do mogiły,
Carpe diem!—dzień wesela!

J. Nitowski

CZYTANIE RODZINNE.

— Czy nie czytamy dziś zawiele? a raczej: czy przy obecnym rozwoju prassy peryodycznej, nie czytamy zawiele tych płodów belletrystyki, które się zowią powieściami? — Pytanie to ważne szczególnie dla matek rodziny, których dorosłe córki posiadają już pewne prawo swobodnego rozrządzania czasem i jego zajęciami. I każda młoda jeszcze kobieta powinna również zagadnienie to postawić sobie przed myślą, badając: jakim wpływem odbija się to na jej umyśle, jak oddziaływa na wyobraźnię, więc na stan uczucia i kierunek myśli? Że czytanie to wprowadza nas w świat urojony, że daje obrazy rzeczywistego życia w zmyśleniu,—nie może tu być zarzutem żadnym, bo poza nauką właściwą tego właśnie żądamy od książki, aby oderwała nas od codzienności powszedniej i przeniosła w świat nowy, idealny, otwierający nam widnokrąg inny, niż ten, na którym codziennie wschodzi i zachodzi słońce nasze. Ale jaką jest ilość i jakość wrażeń, dawanych nam przez książkę?—to węzeł kwestyi,

opierającej się obok tego na ważnym tem zagadnieniu, jak umysł nasz jest przygotowanym do ich przyjęcia?

Pewna summa wiadomości i wykształcenia umysłowego—pewna summa pojęć etycznych jest tu koniecznie potrzebna, aby nie nastąpiło chaotyczne skłócenie wyobrażeń, a prawda i fałsz nie pomieszały się ze sobą. Kto tego nie posiada,—kto pewnego moralnego ładu w myślach niema, i życia nie zna, a umysł wyłącznie fikcyjami karmi, ten go bynajmniej przez czytanie takiego rodzaju nie wyrabia, lecz przeciwnie ponieść może szkodę wielką na jasności sądu o życia celach i potrzebach — o życia obowiązkach. Czytanie, choćby najłżejsze, nigdy za luźną rozrywkę, za zabawkę jedynie uważanem być nie może, bo każde zajęcie umysłu zawsze kolorytem pewnym go zabarwia, myśl do zwracania się w pewnych kierunkach skłania i na wyobraźni ślad swój wyciska. Jak oko, wpatrujące się przydłużej w przedmiot jakiś, widzi go potem przez zamknięte nawet powieki, tak tu się dzieje. Wyobraźnia odtwarza sobie obrazy, któremi się zabawiała, wraca do nich niemal mimowolnie, przypomina je nam przy okolicznościach życia podobnych: i dlatego-to Francuz nazywa ją: „la folle du logis,“ że nie zawsze panować nad nią można — że często, nie my nią rządzymy, ale ona porywa nas i unosi za sobą. Dlatego też nawet to czytanie, które uważamy jedynie za przyjemność, za zajęcie czasu mniej więcej miłe, za uchronienie się przed nudami, nie przechodzi dla nas bez skutku, bez oddziaływań więcej, lub mniej pożądanych? Czyż w wychowaniu nie posługujemy się książką? W celu wzruszenia uczuć szlachetnych przedstawiamy młodej wyobraźni czyny szlachetne poświęcenia, siły charakteru, wytrwania w dobrem, odtrącenia złego—rozbudzamy przez książkę zapal, poetyczność, wzniosłe te porywy, które stają się sprężynami czynów życia, wiodącego szlakiem górnym. Lecz edukacja taka przez

książkę nie kończy się bynajmniej z tym okresem lat, który małoletnością nazywamy.

Bywa on krótszym lub dłuższym, według indywidualności naszej, z tego przecież przez co książka działać na nas może, nie wyrastamy tak prędko, jak przypuszczamy, w młodości zwłaszcza. Spieszymy się do życia. Pilno nam jest dotknąć ustami parzącej jego czary i ta to życia ciekawość sprawia właśnie, że młodość tak pragnie tego rodzaju czytania, w którym znajduje życia odbicie—życia obrazy, choćby w literackiej fikcyi tylko. Umieć je dobrać należy, to dla rzeczywistości tego życia pomoc wielka—ogromna, bo dobre wyrobienie kierunku myślenia i, co za tem idzie, prawidłowy rozwój władz umysłowych. Żywiąc przeważnie wyobraźnię, ogłdzamy siłę rozumowania i można w ten sposób zdolność tę w sobie obniżyć, jak naodwrot—można polot wyobraźni przez zastój ubezwładnić a strata to zawsze—zawsze to dla życia, w jednym, czy drugim kierunku szkoda wielka, bo już jest wtedy jakaś umyślna niepełność, jakiś w nim brak, co się niepełnością i brakiem w harmonii życia odbija.

Z instynktami natury należy się do pewnego stopnia liczyć i wtedy tylko walczyć z niemi trzeba, gdy się objawiają dziko, gdy są niskie i do moralnego zubożenia, do moralnej nędzy prowadzą. Wykształcalność człowieka już wychowaniu jego naturalne prawo do tego daje, ale w skłonnościach wrodzonych kryją się wskazówki, których przeoczać nie należy. Młode pragnienie wiedzy życia wspomaga zdolność wykształcania się do życia—życia naukę i przygotowanie się do niego takie, aby nie iść tam pociemku z zapasem tylko teorii rozumowych i nakazów otrzymanych na tej zasadzie. Książka, która historią żywota ludzkiego podaje i obrazy jego przed nami roztacza, jest zarazem historią przyczyn i skutków, daje zatem jakgdyby doświadczenie z drugiej ręki i może to być drogowskaz dla własnej ścieżki naszej, jeżeli czytanie odpowiedniem będzie. Życie młode powinno mieć przede wszystkim wszczepioną w siebie tę starą dewizę francuzką:—„Fais, que dois—advienne que pourra!” ale nauka życia w przykładach, życia wiadomości, z przykładów czerpana, której młodość przez książkę pożąda, należy jej się może; trzeba to tylko czynić rozumnie i nie dopuszczać, aby złą drogą dochodziła do tego, czego pragnie, bo wtedy i rezultaty muszą być ujemne. Powieść jest to dziś—legion... Pisze się ich mnóstwo, złych i dobrych, i można powiedzieć bez przesady, że tak u nas, jak wszędzie, zalewają one literaturę, i dlatego wogóle czyta się ich dziś zawiele, i wtedy nawet, gdy smak dobry i poglądy nasze na życie—nasze moralne zasady dają nam wstręt do brzydot, umysł doznaje pewnej szkody, gdy się przeważnie karmi tą strawą lekką, która, jako fikcja, głównie na wyobraźnię działa i wyobraźnię głównie rozbudza. Ale jest dział literatury, który, bez owych stron niebezpiecznych, posiada wszystkie warunki zajęcia, jakich czytelnik w powieści poszukuje: biografie osobistości wybitnych, pamiętniki—czytanie historyczne, które w oświetleniu życia prawdziwym życia dzieje przedstawia. Literatura nowoczesna posiada ich dość—nawet tak wiele, że nie zbraknie ich z pewnością czytelnikowi, najbardziej do książki zapalonemu. Czytanie rodzinne powinno się też tym działem literatury bronić przed zbytecznym zatonięciem w powieści. Pamiętniki wzbogacają zarazem wiedzę naszą historyczną i dadzą naszej znajomości dziejów pewną wypukłość, przez zrozumienie ducha danej epoki, która wystąpi nam przed oczy wyraźniej, gdy odsłonią nam się przed myślą pobudki czynów ludzi, będących tu działaczami.

Pamiętniki, przez to, że są prawdą silniej też być mogą nauką złego i dobrego, a obrazy tam spotykane, nie dla efektów literackich kreślone, nie dla rozbudzenia ciekawości i zajęcia wyobraźni sztucznie obmyślane, muszą w oddziaływaniu na czytelnika silniej i zarazem inaczej działać. Mogąc tak, jak tamte, sercami wstrząsać, zapalać budzić, uwielbienie dobra i piękna w piersi wszczepić, zarazem jako prawda poważniej do zamyslenia się nad życiem nastra-

jają, żywiej uwielbieniem dla cnoty przejmują, silniej obydę upadku moralnego odczuć każą.

Nie znaczy to, aby powieść w znaczeniu swem literackim—w znaczeniu etycznym, jakie posiada każde dzieło sztuki, nie miała w piśmiennictwie każdego narodu swego wyższego miejsca i wpływów ducha podnoszących. Ale czy nie zbyt wyłącznie zaczyna ona panować w czytaniu kobiety, a szczególnie, czy czytaniu temu przewodniczy wybór potrzebny, konieczny nawet przy naturalizmie, który w powieści nowożytnej miejsce sobie wyrabia? Literatura francuzka posiada jeszcze wielkie talenty, ale już zaczyna jej braknąć powieści, któreby ucziwa kobieta bez szkody dla swego ducha, bo bez brudzenia sobie wyobraźni, czytywać mogła. Zawsze prawie gra tam rolę namiętność nie uczucie; zawsze prawie człowiek jest tam ukazany w stanie upadku—jest niewolnikiem instynktów swych niższych, a nawet wtedy, kiedy je zwycięża, czytelnik nie wychodzi bez szkody z tego czytania, które mu stawiało przed oczy obraz brzydoty moralnej, wprowadzało go w krąg myśli poniżających dostojność ludzkiego ducha. Nie na tem jednym polu Francya upada—czyż zaś nie upada dlatego właśnie, że tak myśli i czuje, że obyczaje jej mogą takie przykłady życia pisarzowi stawiać, a pisarz odtwarzać je i czytelników znajdować sobie może? Że społeczeństwo nasze nie smakuje w takich kreacjach literackich, że ci, którzy literaturę tworzą, nie chcą tej zarazy moralnej sztucznie nam wszczepić, dowód to, że w tak rozpowszechnionych u nas przekładach powieści z języków obcych rzadkiedy pokaże się powieść francuzka i już od lat kilkunastu miejsce jej zajęła przeważnie angielska.

Czy jednak nie czytamy wcale produkcji tej poniżonej dziś literatury francuzkiej—czy nie z jej wpływu nie dostaje się w umysł naszej kobiety? To pytanie bardzo ważne dla rodziny naszej, a pośrednio dla społeczeństwa—dla narodu.

(Dokończenie nastąpi)

ZE SPUSCIZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisal

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Cóż za wspaniała perspektywa w przyszłość—niestety, nazbyt utopijna. Marzony przez poetę raj na ziemi, w dalekiej chyba niesłychanie kryje się jeszcze przyszłości. Jakkolwiek bądź wszakże przewidywania i rojenia takie zawczesnemi wydawać nam się mogą, przynajmniej musimy, że fatalne stosunki dzisiejsze same się nie zmieniają; że, aby zbliżyć się do tej błogosławionej przyszłości, potrzeba walczyć ciągle z pierwiastkami złego i że im więcej będzie zapaśników na tem polu, tem pewniejszym będzie zwycięstwo i tem bliższą jutrenka. Dlatego też chyliły głowę przed wielkim idealistą, który z głębi wielkiego serca swego „woła do nieba o niezmierne rozszerzenie światła śród nas, śród ludzkości.“ Słuchajmy: wymownie żąda on dla człowieka godności człowieczej i śmiało powstaje przeciwko potężnej dziś jeszcze, niestety, większości, z całym uporem wstępczości broniącej wojen, krwawych przewrotów, cofającej w ten sposób ludzkość ze stanu cywilizacji do stanu zwierzęcości. Lubi nawet spotykać „dumnych złego przedstawicieli,“¹⁾ aby móżdż walczyć z nimi, w proch ścierać przewrotne ich zasady i przekonywać świat swemi pieśniami. „Nie gniewam się, gdy

lwy na mnie napadają, gdy potworów zajadłe zastępy obsaczają mnie dokoła: dobrze, oczekuję ich, marząc pod cyprysami. Gdy zbliżają się za nadto, pokazuję im zęby, a gdy potrzeba, robię z nich wymowny przykład dla innych.“ Walczy za idee pokoju, miłości, piękna, prawdy i dobra z całą ufnością, której nie mogą złamać tysiące głosów, dowodzących mu na różne sposoby, że to są chymery niepochwytnie,—z wiarą niezłomną w przyszłe ich urzeczywistnienie, z głębokim przekonaniem, że jest jednym z tych wielkich kowali, którym „Bóg zlecił ciężką pracę wykuwania na kowadłach serc ludzkich praczków przyszłych, lepszych pokoleń.“¹⁾ „Ciemność, to wróg mój; z nią walczę; chcę zagadkom losu wydrzeć wyznanie, wyrwać im serce nasze, które w kleszczach trzymają, rozproszyć ciemność, znieść nędzę; jam duch surowy, niespokojny, zimny, wyniosły, jam przeciwnik olbrzyma-przeznaczenia; idę przez groźne cienie dumnych rozgałęzień, przez głębokie kielichów kwiatowych i trawy olbrzymie, nie znając krain, do których wstęp byłby mi wzbroniony, mogąc być zobezłonym chyba z tak daleka, że nic o tem nie wiem; kocham wszystkie słońca i wszystkie ojczyzny; jestem żołnierzem wielkich urojeń; marzenie jest mym przyjacielem, utopia mą siostrą; nie mam w sobie nienawiści, chyba wskutek wielkiej miłości; słucham, jakgdyby szumu fal, co wyszły z brzegów, szmeru niewyraźnego przyszłych, wielkich idei, i przygotowuję łożysko dla tego potoku, który nadbiega; wiem, co Bóg obiecuje i czego przyszłość dotrzymuje, i gotuję postępowi drogę w przestrzeni; bronię kołysek i grobów; przechodzę, mając za jedyne pragnienie prawdę, dobro i piękno i nie zważając na wielkich świata, gdy są duchem mali.“²⁾

W ten-to sposób, nie wstydząc się bynajmniej utopijności szlachetnych, humanitarnych swych żądań, przeciwnie, chlubiąc się niemi i szcycąc, w najgłębszem przekonaniu, że jeśli nie mamy zupełnie zwątpić o człowieku, to one kiedyś ze sfery utopii wyjść muszą, — występuje Wiktor Hugo zawsze, nawet, gdy siwizna przypruszyła mu czoło, a starość ochłodzić mogła zapał lat młodych, z tąsamą gorącością natchnienia i energią słowa, przeciwnie; temu, czego nigdy nie przestał uważać za największą klęskę, zbrodnią i hańbą ludzkości: przeciwko śmierci zadawanej człowiekowi przez człowieka, jakkolwiek ta śmierć formę przybiera—czy to mord, rzezi rewolucyjnej, czy wojny.

Oto z jaką zgrozą i świętem oburzeniem mówi o „orgii mordów,“ która do dzisiaj nie przestaje szaleć w najcywilizowańszych społeczeństwach globu naszego: „Ach, tak! Ja stawiam kropki nad i; przypuśćmy, że w pewnych wypadkach usprawiedliwiam wojnę; mord—nigdy. Przyznajcie sami, że byłoby szczególnem, gdybym znosił morderstwa pojedyncze, ja, który brzydzę się mordem w massach, lub też, bym, odrzucając je w oddzielnych wypadkach, gustował we krwi, gdy ta płynie rynsztokami. Tak, gruzy często zasłaniają trupów, lecz kiedyś historia dowie się posępnych rzeczy. Naprawdę chcesz ukryć swój fartuch rzeźnika, nocy św. Bartłomieja, trudny do ukrycia; daremnie pokolenia całe starałyby się zmyć gąbkami ślady w okropnym wawozie w Sewennach: zawsze zeń płynąć będzie zło-różny krwi strumień. Mord może przybierać niewinne minki, dowodzić tego, co nie jest, zaprzeczać temu, czego dowiedziono, objaśniać swe przyczyny, wypowiadać swe za i przeciw,—naprawdę! Będzie zawsze zbrodnią, czy-to w ludzkiej ma źródło, czy w biblii, nawet za dobrą sprawę, będzie ohydny; czy zwie się Albą, czy Omarem, czy Cromwellem, czy Bellart'em, czy Marat'em,—będzie zawsze głupim i zawsze zbrodniczym; jakkolwiekby partya tarzała się w tej ohydzie,—przekleństwo śmierci, zarówno od jednej strony i od drugiej... Ktokolwiek jesteś, jeśliś był katem, schowaj ręce za siebie, wiedz, że nigdy nie uciekniesz od zgryzoty, że, na kim-

1) Ks. IV, 23. „Czemu wielcy ludzie są nieszczęśliwi“ tom I, str. 321.

2) „Struna śpiżowa“ 8, tom II, str. 293.

1) „Struna śpiżowa“ 8, tom II, str. 293.

kolwiek spełniłeś swą zbrodnią, był to zawsze twój brat, i że każda ofiara jest siostrą swego mordercy.

Jak przystało wielkiemu apostołowi idei miłości, Hugo jest tu bezstronnym i jednakże za mordercę potępianym—na tych, których zdecydowanym jest przeciwnikiem i na tych, ku którym z innych względów żywi sympatyę. Odnośnie ustępy w „Całej lirze,” są już bezwzględnie wolne od tej pewnej dozy stronności, jaka dawała się uczuć w drugiej połowie „Roku straszego.” Poeta zna tutaj tylko szlachetną swoją ideę i żądnymi ubocznymi nie kieruje się tendencjami: „Nie mieć dla zbrodni żadnego pobłażania, oto moja zasada! Mówię więc wszystkim prawdę, tobie, Rigault, tobie, Gallifet! Rzetelność, otwartość, obowiązek—oto cała moja dusza. Czerwoni mordercy mają na czole widoczne wszystkim znamię ohydne, lecz ja nienawidzę też, jako podobnych tym czerwonym, czarnych bratobójców i białych morderców. Jestem bezstronnym zamiataczem, który przechodzi, rzucając w przestrzeń na cztery wiatry wszystko to, co plami człowieka, naród lub prawo... Nie myślcie więc, żeby przed czembadź się cofnął; gdy spotykam Augiasza, mam usposobienie Herkulesa.”¹⁾

A w innym znow miejscu, temsamem tchnąc uczuciem, przytacza, w formie fragmentu epicznego ustęp z opowiadań ojca swego o walkach w Hiszpanii i przy podobnej tendencji wysnuwa też w końcu refleksyę. Przytaczamy w całości ten jędrny urywek:

Było to w Talaveyrze Królowej, w Hiszpanii.

Anglicy, przeciw którym byliśmy w kampanii, Zajmowali, wsparli się na zamczysku starem, Stok południowy, my zaś stok północny. Jarem Wzgórki oba i armie były przedzielone. Biliśmy się od rana; przez dymów zasłonę Potworną, co słońca dwa wojska walczące, Patrzyło z niebios brudne, straszne jakieś słońce; Owa gwiazda, co codzień wschodzi i umiera, Wieczna i wiecznie młoda, jako pieśń Homera Tosamo słońce, które Achilliowi lśniło, Mściło się; na walczących, ogłuszonych siłą Straszna grzmotów armatnich w rozrukaniu szale, Zlewało niezmiernego światła czarne fale,— Osłepiało nas; jakby widoma przestroga, Rzucało w dym walk ludzkich wielki promień Boga. Błyszczało, królowało, oblewało znojem.

Karol Czwarty ze swoim ministrem, Godoy'em, Wpakowali nam na łeb Anglików w czerwieni, Lecz im, którzy też niezbyt są do sier stworzeni, Było równie gorąco, jak nam. Dzień był parny. Ani żdźbła zieloności; w głębi jaru marny Gaik sosen z Alepu, jakby za zasłoną, Ukrywał w cieniu strugę nawpół wysuszoną. Jak rzesy rozdzielają dwie oka powieki, Tak te drzewa, kryjące strumyczek od spieki, Dzielili oba wzgórze u parowu łona.

Więc, jak gdy nagle wichry chwycą się w ramiona, Zwarliśmy się, Francuzi z Anglikami. Działa Płyły ołowiem; czaszki, poszarpane ciała, Wnętrznosci, członki wkoło widziano krwawiące; A nad tem polem śmierci płomieniste słońce. Szabla, działa, garlacje, karabiny, piki— To nic, można przywyknąć; ale mieć zwrotniki Nad głową, to zanadto. Pragnienie nas piekło. Stał, ołów—to śmierć tylko; promienie—to piekło. Słońce, skwar, pot, pragnienie—oh! co za konanie! A jednak spełnialiśmy swe krwawe zadanie: Mordowano się wściekle. Dookoła trupy, Pod nogami walczącej, bezładnej już kupy Leżały, obojętne, zimne, jak marmury.

Wtem ujrzałem ów strumyk wśród drzew u stóp [góry.

Hiszpan krzyknął: *Caramba!*—też go snadź zobaczył.

Zbiegłem ku wodzie, nad nią Anglik się rozkraczył, A tuż Francuz, i drugi, i gromada cała;

Kłękliwsi wkoło, bitwa na chwilę ustała,— Nakrótko zresztą; ranni przypelzli po ziemi; Stuknięto się kaskami krwią ubroczonemi.

— Za wasze zdrowie — rzekłem. Odrzekli: Za [waszel—

I wróg wrogom podawał chętnie krwawą czaszę.

Bój straszny znów się zaczął, bez przerwy już [teraz.

Poeta, który jest wielkim optymistą, nie może przypuścić ani na chwilę, że panowanie wszystkich tych okropnych, ohydnych rzeczy w świecie jest stanem normalnym, z natury ludzkiej wypływającym. Za idealne ma on pojęcie o człowieku, aby uznać te czarne strony, te brutalne instynkta za składową, integralną część jego charakteru. Uważa je też chętniej za coś chwilowego, wypadkowego, narzuconego, za jakiś obłęd przejściowy, jakieś zaćmienie,¹⁾ jakiś przelot nad ziemią duchów ciemności. „Demony, których śpiew podobny do wycia wilczego, przelatują wśród straszliwego chmur zamętu i, uciekając przez przestrzeń bez granic, rzucają okrzyki miłości i uwielbienia dla złego, zdziwionego, że je ktoś błogosławi:—O ciepło, ogniu, światłości, życie! plódźcie klęski i nieszczęścia! Naturo o potrójnem łonie pod szatą gwiazdzistą! bądź dobrą matką i zrób dwie fałdy w swoim płaszczu; w jednej ukryj jagnię; w drugiej—wilczątka. Nieszczęścia, różdżce nieustannie coraz liczniejsze potomstwo! Mnóście się, lwy, pantery, węże, sępy, rekiny, krokodyle, zmij! zieleń się i wab' cieniem nieostrożnych przechodniów, sumaku jadowity! Fałszywi kapłani, starajcie się ukryć Boga! Bandyto, zostań księciem; księżę, bądź bandytą,— królujcie szalbierstwa, odradzajcie się w synu po ojcu!

(Dalszy ciąg nastąpi)

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

Weszli do grydnicy.

W tej chwili na drodze leśnej wiodącej od Berestowa na Przesławin i Wasylów, przez obrzednie drzewa przejeżdżał orszak myśliwski Bolesława, który przez Debry na Sokoli-róg podążał. Przodem jechał król, poprzedzony kilku konnymi węgrzynkami, wysłanymi dla uprzątnienia drogi, obok niego jechał nieodstępny towarzysz bojów Bolech Jastrzębiec, a za nimi długi szereg bojarów i dostojników Izasława. Między innymi jechał także Warażko, śmiejąc się rubasznie i głośno rozprawiając o łowach, jakie-to jeszcze z dawnych czasów odbywały się w Debrach za Włodzimierza i Jarosława na wilki i niedźwiedzie z rohatyną. Orszak ciągnął się długim ogonem, bo droga leśna była niewygodną i wąską. Za orszakiem bojarów jechał Sokolniczy z ulubionym krzeczotem króla na ramieniu; krzeczot siedział spokojnie z kapturem na głowie i tylko niekiedy podnosił zlekka skrzydła, jakby się zrywał do lotu lub próbował siły; groźnie zakwilił kilka razy i uspokoił się. Dalej postępowała cała gromada pachołków łowczych z sokołami, a na końcu dopiero grupa konnych psarzy. Każdy z nich wiódł na smyczy rzemieunej kilku psów, ułożonych do polowania na wilki i niedźwiedzie.

¹⁾ Patrz ustęp pod tym tytułem (*Eclipse*) w „Czterech wicherach ducha.”

Umyślnie kazał Bolesław psy zabrać, mając chęć zapolować z powrotem, gdyby się grubszy zwierz, którego w Debrach było dosyć, trafił. Rzenie koni, skomlenie psów, zlewało się w jedno brzmienie, w jedną muzykę, i wspólnem echem z jednej strony odbijało się w Dolinie Kłowskiej, z drugiej w Dolinie Chreszczatej, a przodem biegło ponad moczary i łozy Łybedi i konało pod lasem na Szulawce i pod Łysą Górą.

Spuściwszy się leśną drogą ponad potokiem Kłowem ku początkowi Doliny Chreszczatej, orszak cały szeroką piaszczystą drogą w kierunku ku Wasylowu ruszył wprost na Sokoli-róg, który nieco nalewo od doliny, jakby z ziemi wyrastał wysoko do góry i zieloną, od drzew porośniętą, głową rozglądał się po dalekiej okolicy. Jeszcze szara mgła poranku perłowym zawojem pokrywała mu głowę, kiedy cały orszak zbliżył się do piaszczystego podnóża Sokolego-rogu. Sokolniczy i sokolnicy ruszyli za Bolesławem wąską drożyną wraz z orszakiem bojarów i gości, a psarnia i psarze pozostali na dole. Wprawdzie była inna krótsza nieco droga z Krasnego Dworu na Sokoli-róg: wprost doliną Łybedi, okrążywszy Berestowo, ale droga nie najlepsza—błotnista, wąska, mało uczęszczana, tak, że wielki orszak z trudem tylko mógłby się poruszać na niej.

Słońce zaczęło wschodzić, kiedy Bolesław, bojarowie i sokolnicy drożyną leśną dostali się na szczyt Sokolego-rogu. Cała dolina Łybedi już się budziła ze znu. Poranne słońce, zajrawszy pozłocistym spojrzaniem w dolinę, ściągnęło z wód, zielonych moczarów i nieprzejrzanego lasu łożyny szare pokrycie mgieł.

Nalewo ponad Łybedią ciągnęły się dymiące mgłą poranną lasy, naprawo od wschodu rzedniejące nieco, a na szczycie wzgórze widać było grube mury, wijące się jak wąż; ginęły one poza drzewami i zielenią ogrodów, wychylając się na załomach i stercząc szarą pierś do słońca. Poza niemi, a raczej w ich okoleniu, strzelały w niebo pozłociste kopuły klasztorów św. Zofii, św. Michała, cerkwi Dziesięcinnej i wielu innych. Ponad tem wszystkim unosiły się jeszcze mgły poranne, przesnute złotemi niemi wschodzącego słońca. Widokiem tym każdy napawał mimowolnie swoje oczy; w milczeniu patrzyli wszyscy. Towarzyszom króla było czegoś smutno, budziła się w nich tęsknota za własnym krajem, za rodziną.

Bolesław, patrząc na daleką i piękną okolicę, odezwał się do Bolecha:

— Bogaty to i piękny kraj! Prawda Bolechu?

— Bogaty, miłościwy królu, ale i nasz nie ubogi...

Coś brzmiało w tem niby wymówką, ale Bolesław, zdawało się, w tych słowach nie dostrzegając wymówki.

— Szkoda tylko — ciągnął — że kniazikowie nie mają siły, gryzą się ze sobą, dzielą się każdą piędzią ziemi, jak szatami—a tymczasem Polowce kraj szarpia...

— Et, miłościwy panie, i u nas nie lepiej! Tu kniazikowie, a u nas królikowie pono nie lepiej robią—a bronić lud niezawsze jest komu...

Bolech nie kończył, zamyslił się.

Jakieś niewesołe zapanowało usposobienie.

— Wiesz przecie, Bolechu — odezwał się po chwili król, — żem w domu za piecem nie siedział—biłem się z Niemcami, godziłem Węgrów...

— Tak, i na Ruś przyszedłeś nie bez celu... ale... od domu zadaleko jesteśmy... czas wrócić... może...

Bolesław zamyslonem okiem patrzył przed siebie.

— Wrócimy, mój druhu, wrócimy! Chociaż kto wie, czybym nie lepiej zrobił, gdybym tu pozostał nazawsze... U nas władza rozproszona: każdy biskup, każdy kasztelan, każdy wojewoda—to król osobny; silni jesteśmy, ale rozdzieleni, naród nie wie kogo słuchać, bo dla niego każdy pan wioskowy jest sędzią i królem. No, ty wiesz przecie najlepiej, jak to trudno tych wszystkich małych królików na jedną drogę ściągnąć, pychę ich i butę okiełznać...

Bolesław przerwał mowę i zamyslił się znowu.

— Póki władza i siła nie będzie w jednym ręku, nie będzie państwa... jak nie zjedzą nas Niemcy, to Połowce, jak nie Połowce, to inna gęba się znajdzie... Siedzę tu nie po to, aby siedzieć: moja myśl i serce są w kraju; muszę tu siedzieć, taksamo, jak siedziałem na Węgrzech, jak siedziałem w Przemysłu... muszę!

Ręką skinął przed siebie.

— Widzisz, co to za kraj, jakie bogactwa, jaki lud spokojny i rządny... co to za siła, — gdyby ją razem z naszą połączył! Gdyby lud ten użył do boju z Niemcami, coby to za potęgę można było stworzyć!

Zaledwie król skończył, kiedy rozległ się tentent konia i Warażko podjechał do króla.

— Miłościwy królu—wołał—każ puszczać sokoły, już się łabędzie porywają!

Bolesław uśmiechnął się doń.

— Ho, ho, panie posadniku, boicie się, aby wam łabędzie nie uciekły!

Skinął na Sokolniczego.

— A zdejmujcie kaptur Rusinkowi! Był to ulubiony sokół królewski.

Sokolniczy zdjął kaptur, ale ptak siedział nieruchomie, potem zlekka począł głową ruszać na lewo i naprawo, jakby się przypatrywał wschodzącemu słońcu i okolicy, potem wyprostował skrzydła, poruszył niemi kilka razy i szybkim lotem pomknął do góry. Leciał, jak strzała i malał w przestworach niebios; za chwilę już go było tylko widać jako punkt czarny, wiszący pod błękitami niebios, ale wkrótce i ten punkt zprzed oczu zniknął.

Porywały się stada dzikich kaczek i gęsi, ale sokoła nie było widać, zdawało się, że utonął w błękitach nieba. Naraz od Szulawskiego wzgórza dał się słyszeć jakiś krzyk niewyraźny.

— Łabędzie zaraz porywać się poczną, miłościwy królu — rzekł Warażko — to i sokół się znajdzie.

Jakoż niedługo potem sokolniczy dostrzegł znów nad Łybedią czarny punkt, zawieszony niby wśród nieba, który długą chwilę zdawał się być zupełnie nieruchomym.

— Otóż i sokół... coś dojrzał — zauważył Warażko.

W tejsamej prawie chwili ponad łożami Łybedi ukazał się sznur łabędzi, który, podniósłszy się nieco na wodę, uformował się w trójkąt i ciężkim lotem zmierzał nad rzeką w kierunku do Sokolego rogu.

Myśliwi spojrzeli mimowolnie w górę, w tym kierunku, gdzie widziano zawieszony niby punkt czarny w niebiosach, ale punktu już widać nie było, a natomiast zdawało się, jakgdyby z tego punktu wywinął się sznur czarny i rozwijając się z nadzwyczajną szybkością, grubiał w miarę zbliżania się ku ziemi: był to Rusinek, który strzałą spadał na stado łabędzi. Za chwilę już się wpił szponami w grzbiety najsilniejszego, leżącego czołem trójkątu i porwawszy go, zdążył nieco ocieżyć lotem na Sokoli-róg; łabędź zaczął żałośnie w szponach krzeczota.

— Zuch Rusinek!—wołano ze wszech stron — toż się spisał gracko!

Rusinek dolatywał coraz bliżej i bliżej do gromady myśliwych, a wciąż krążył nad Sokolim-rogiem, zniżając lot ku ziemi. Czy zmęczony się, czy może czuł, że ofiara wybrana przez niego już nie żyje, dość, że, nie troszcząc się o nią wcale, wypuścił ze szponów łabędzia, który spadł nieżywy pomiędzy myśliwych, psy i konie. Powstały krzyki zachęty, nawoływania żarty; tymczasem Rusinek spuszczał się coraz niżej, niżej, zataczał coraz węższe koła, aż nareszcie usiadł.

Sokolniczy miał już przygotowany kawał końskiego mięsa, którym sokoła uraczył. Rusinek siedział nachmurzony, obojętnie dokoła poglądając, ale okiem jeszcze palającym i, przytrzymując szponami jednej nogi mięso, szarpał je ostrym dziobem na kawałki i połykał.

Zabawa z sokołami trwała dalej. Z kolei puszczano inne sokoły, ale żaden już nie bił z taką odwagą i siłą, jak Rusinek. Grupa myśliwych, przybyłych z Bolesławem rozproszyła się po całym wzgórzu Sokolego-rogu.

Wreszcie król zagadnął obok niego stojącego Bolecha:

— Trzeba wracać; pojedziemy przez Debry; można będzie jeszcze po drodze do kniei psy zapuścić. Każ zatrąbić; niech się ludzie gromadzą.

Bolech skinął na trębacza, który podjechał zwawo, ujął wielki, wiszący przy boku róg bawoli w srebro okuty, podniósł do ust i trąbił począł. Głos rogu rozplywał się daleko po okolicy, ginąc w załomach jarów, w głębi lasów lub echem płynął w dal doliną Łybedi. Pomaleńku orszak począł skupiać się przy królu, powstał gwar, skomlenie i szczekanie psów z rzeniem koni i głosami ludzi zmieszane, wreszcie powoli orszak cały posunął się ku Debrom.

Bolesław był widocznie zadowolony z polowania i Rusinka, ale Bolech jechał posepny i zamyślony; coś mu ciążyło na duszy, półsłówkami tylko rozmawiał się z królem.

Kiedy już w Debry wjechali, Bolesław odezwał się w te słowa do jadącego w milczeniu towarzysza:

— Mocny to był łabędź, którego Rusinek pokonał...

— Łabędź? A... mocny...

— Długo śpiewał, zanim go udusił...

Bolech, nie podnosząc spuszczonej głowy, rzekł, jakby sam do siebie:

— Nasi nie śpiewają tak długo...

Król spojrzął mu w oczy.

— Jacy nasi? — zapytał. — Bolechu! coś się dzieje, czego jeszcze nie wiem; godzi się, abym wiedział.

Bolech nachmurzone oblicze podniósł na króla i chwilę wzrok swój na nim zatrzymał.

— Złe się dzieje... ty wiesz, miłościwy królu, o tem... ludzie nam giną, jakby ich kto pod ziemię chował... Wiesz, że giną, ale nie domyślasz się z czyjej ręki...

— Giną... — odrzekł król zamyślony — w wojsku nie rodzą się ludzie... Czyż oprócz wypadku można kogo winić?

Bolech głową skinął.

— Tak i my myśleliśmy długo... teraz można już twierdzić napewno, że tem wszystkim kieruje ręka Izasława z Wielkiego Dworu.

Bolesław porwał się gwałtownie na siodło.

— Jego ręka? Tasama, którą tajemnie braci mordował, morduje mi żołnierzy?

Bolech spojrzął śmiało na króla.

— Na Rusi, królu, nie będziesz miał takich przyjaciół, na których możnaby się było oprzeć, bo twoi przyjaciele sięją i orzą pola. Na Wielkim Dworze takich przyjaciół nie masz i mieć nie będziesz! Tam jesteś solą w oku, ością w gardle!

Bolesław długo milczał i zamyślonem okiem patrzył przed siebie.

— Nie dla siebie szukałem przyjaciół, ale dla Polski!

— Wiedz-że teraz — odrzekł Bolech — jakich masz przyjaciół i strzeż się ich, bo... gdy przyjdzie czas powrotu do domu — nie stanie drużyny!

Gniew króla nie miał granic.

— Nim to się stanie miłościwy królu, trzeba się wystrzeżać tego... kniazia z Wielkiego Dworu.

Już i psy zapuszczono do kniei, polowanie odbywało się w najlepsze, kiedy obaj jeźdźcy tak byli rozmową zajęci, że ledwie zdołali podążać za polowaniem wąską ścieżką leśną ku Kłowskiej dolinie, a za nimi przeciskał się nieliczny orszak zbrojny, zwyczajna straż przyboczna króla. Zbliżyli się ścieżką do wąwozu, kiedy Bolech dostrzegł siwobrodego starca, który na załomie ścieżki, stojąc zwrócony ku orszakowi, nasłuchiwał. Dostrzegłszy zdaleka zbliżający się orszak, odwrócił się i za chwilę znikł zupełnie, schowany za krzakami leszczyny. Ostrożny Bolech bystrem okiem dojrzał w jaką stronę ukrył się starzec, a zbliżając się ku temu miejscu jechał powoli i rozglądał się.

— Zdaje mi się — rzekł — że w tej stronie mignęła mi jakaś postać...

— Może kto z myśliwych.

— Schował się — więc nie myśliwy.

Jechali dalej. Bolech nagle konia zatrzymał i spojrzenie w jedną stronę skierował.

— Hej, stary! — zawołał — a pokaż-no nam swoje oblicze!

Nie widział wprawdzie nikogo, ale był pewnym, że się nie myli. Ktoś tu niedaleko być musiał.

Echo powtórzyło po lesie: hej, stary. — ale nikt nie pokazywał się.

— Skocz-no między krzaki — rzekł Bolech, zwróciwszy się do jednego z pachółków orszaku, a popatrz pilnie, czy się kto tam nie schował.

Ledwie ten rozkaz był wydany, kiedy zdala między drzewami spostrzeżono dziada schylającego się raz po raz ku ziemi.

Stawiono go przed króla. Starzec miał kosz z łożyny w ręku, w którym było nieco grzybów.

— Coś za jeden? — spytał go Bolesław.

Starzec pokłonił się.

— Ubogi człowiek miłościwy królu; mam chałtę nad potokiem Kłowskim w Debracl.

— A cóż tu robisz i czego się chowasz?

Starzec był niby trochę zdziwiony.

— Chowam się? Czegoż się mam chować przed jasnym obliczem twojem, miłościwy królu? Ot... za tą leszczyną jest moja chałta... młyn... Wyszedłem grzybów nazbierać: cóż innego staremu zostało? We młynie wiele roboty niema: muszę grzyby zbierać...

Starzec przypatrywał się królowi — i niby się namyślał.

Bogu chwala — rzekł pochlebnie — że raz przecie twoje oblicze jasne, miłościwy królu, obaczyłem. Młody jesteś — ciągnął dalej — a rozum masz stary, rękę żelazną...

Bolech z pewnym niedowierzaniem przypatrujący się starcowi, przerwał mu mowę.

— A jak się nazywasz, stary?

Starzec pokłonił się.

— Dobrynia nazywam się. Ho, ho... ludzie znają Dobrynię!

Nazwisko to w istocie obijało się niejednokrotnie o uszy króla, Bolecha i orszaku.

— Dobrynia — powtórzył król. Po jakież nas licho do ciebie sprowadziło?

Na twarzy starca przemknęło się zadowolenie.

— Tak pewnie zapisano w niebie, abym przed śmiercią oglądał jasne królewskie oczy.

Bolesław uśmiechnął się.

— Mówią przecie, że widzisz przyszłość ludzką i wiesz co ciebie spotka każdej godziny; wiedziałeś zapewne i o tem, że dziś moje jasne oczy oglądać będziesz — rzekł zartobliwie.

Dobrynia nie stracił przytomności umysłu.

— Wiedziałem, miłościwy królu, wiedziałem; stara mówiła mi: po co masz włóczyć się po lesie — obejdzie się i bez grzybów, a przecie poszedłem. Wiedziałem, że ciebie obaczę.

Zamyślił się chwilę, a później z tajemniczą miną ciągnął dalej:

— Wiem, miłościwy królu, nietylko o tem, co mnie spotka, ale i o tem, co ciebie spotka.

— O tem wiesz! — rzekł Bolesław — ciekawy też jestem, co wiesz? No, gadaj, stary!

Jechali powoli drożyną, prowadzącą widocznie do osady, i rozmawiali. Dobrynia szedł przy koniu Bolesława.

— Co mam gadać, miłościwy królu?

Obejrzał się poza siebie.

— Masz zawiele drużyny ze sobą... Ho, ho, ho... co tu bojarów kniaziewskich... i Warażko... o, ten wie, gdzie dobry miód piją — dogadywał złośliwie.

— No, gadaj, stary — ciekawy jestem — naglił Bolesław.

Dobrynia patrzył przed siebie: widać było młyn, potoki, dalej za nimi z poza krzaków szarą strzechę chaty. Chciał może przerwać rozmowę rozpoczętą.

— Oto moje... królestwo, miłościwy panie — rzekł — moja sadyba.

Orszak królewski powoli napełnił dziedziniec niewielki, a długi szereg sokolników i psarzy zatrzymał się na ścieżce. Większa część myśliwych stała jeszcze na stanowiskach, ale już tu i owdzie odzywały się głosy rogów, wzywające do ściągania się, a psy pogubione po kniei, nie znajdując zwierza, szczekały luźnie tu i owdzie, natrafiając na tropy. Jakkolwiek psy zapuszczono od wzgórza leżącego na południo-zachód

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXIV.

Myszka (La Souris), komedia w 3-ach aktach, Edwarda Paillerona, z francuzkiego; przedstawiona poraz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości w d. 25 Września r. b.

Niezawsze i Francuzom udają się sztuki teatralne: nie udało się *Myszka* Pailleronowi. Z wyjątkiem jednego charakteru, starego kawalera, pana de Simiers, którego legitymacja życiowa zresztą nieodpowiada sposobowi przejawiania się na scenie i ostatecznemu rozwiązaniu, wszędzie sama pospolitość albo przeładowanie podrzędnych stosunków komedii, odwracające tylko uwagę od głównego założenia. Założenie to byłoby bardzo dobrem, z powołaniem komedii zgodnem, gdyby autor umiał być przez całe trzy długie, bardzo długie, akty dochować mu wiary i nie rozpraszać sił swych na mechaniczne, niezmiernie łatwe efekta, a zwłaszcza na malowanie oby czajów społecznych z pod paryzkiego stempla. *Myszkę* mieliśmy prawo wyobrazić sobie, jako ciche, powiewne, a miłe dziewczętko, które wśród walki o serce mężczyzny niespodziewanie wysuwa się z krycia i niespodziewany tryumf odnosi przez wszystkie przymioty symbolizujące się w samej nazwie „myszki“. Pailleron niespodziankę zupełnie usunął a charakter dziewczęcia uczynił nad miarę biednym, wątłym i bladym. Jest to niewiniątko—winne już miłości, która znowu wygląda jak kaprys, jak dziwactwo dzieciństwa i nie sięga do głębi duszy. Patrzymy na ogień, nie czując ogniska.

I do złapania „myszki“ potrzeba było innego kotka. P. de Simiers, znany wszystkim towarzystwom, światom i półświatom paryzkim, praktyk wieloletni w miłostkach, napoczątku komedii szukający jeszcze romansu z panią Klotyldą i witał ją dawnie znajome swoje z Paryża, nie mógł jak lew rozkochany oddać się w jarzmo podlotka, ledwoco wypuszczonego z klasztoru. Trudno nam uwierzyć w szczerść jego zapalów: tak płonie się tylko w pierwszych latach tego jedyne szczęśliwego zawodu na ziemi, który się zowie używaniem młodości. Pailleron zamiast sprowadzić wszystko do gry psychologicznej i zestawić obok siebie dwie istoty: jedną zupełnie jeszcze świeżą i bezwiednie uroczą i tym urokiem swym potężną; drugą jeszcze zdrową, zdolną do marzeń, złudzeń i uniesień miłości rzetelnej i do miłości takiej stęsknionej—wpada na niesmaczny, karmelkowy koncept z albumem, w którym panienka, będąc jeszcze w klasztorze, rysowała sobie starego kawalera w rozmaitych chwilach i pozach, oświetleniach i cieniach, potajemnie już wtedy, ale i popensjonarsku, w nim się kochając. Odkrycie tego albumu przez p. de Simiers zwraca dopiero duszę jego ku „Myszce“. Obmyślona przez autora intryga, aby cichej Marty użyć za narzędzie do odciągnięcia starego kawalera od Klotyldy—mężatki w rozwodzie—nie jest ani psychologicznie mądrą, ani też w sztuce samej żywotną. Książd proboszcz nie mógł się znać na tych rzeczach, ale znać się mogła stara pani de Moissand—skoro jednak usłuchano proboszcza, trzeba już było wytrwać w postanowieniu i ruch ześrodkować około powziętego pomysłu.

Cokolwiek było dawniej, teraz, w komedii przed panią Klotyldą najwybredniejszy nawet moralista postawi znak *plus*. Jest to osoba młoda i zapewne piękna, a rządząca się zasadą, że czas procesu rozwodowego kobieta ucziwa wlicza zawsze do epoki małżeństwa z jego kardynalnym obowiązkiem moralnym. Ta jej zasada strzeże ją od p. de Simiers, a później, gdy mechanicznie wprowadzona śmierć męża, nieistniejącego na scenie, nadaje jej prawo dowolnego rozrządzania swem sercem, tasama zasada stawia ją wobec dokonanego już faktu zakochania się starego lwa w młodej gołąbce. Pailleron narysował postać Klotyldy z wielką czystością, ale nie dał jej w dramacie żadnej roli i właściwie po pierwszym akcie zupełnie ją zmiotł ze

sceny. A stało się to także mechanicznie, przez wezwanie nadeszłe od notaryusza, które było tak nagłym, że go wdowa-niewdowa nie miała czasu matce nawet powtórzyć. Cały akt drugi temu tylko pospiechowi, tej gorączce, za wdzięcza swoje przygody i cały układ sceniczny. Pailleron, jakby się obawiał trudności, które rzeczywiście szły na spotkanie go, wołał je ominąć, niż się z niemi zmierzyć. Dla dramatu było koniecznym postawienie oko w oko Marty z Klotyldą, a rzućenie p. de Simiers na burzliwe fale wyboru pomiędzy jedną a drugą.

Nie zacierając nawet znamion istotnych komedii, w granicach jej trzymając się jaknajściślej, można tu było wytworzyć cały szereg scen z silnym światłowieniem duchowym i bogactwem wrażeń i charakterów. Właściwie w tej walce ludzi kochających się należało zamknąć najgłębszą artystyczną i psychologiczną treść utworu. Zamiast takiego ruchu, wynikającego organicznie z samego zetknięcia się dusz, z których każda rządzić się musiała własnym swem prawem, żądzą i celem, Pailleron pokazał nam tylko, co się dzieć może w sercu starzejącego się już człowieka, gdy w nie uderzy promień uroczej młodości. Malowidło to jest i rzetelne i piękne, ale jednostronne; mniej w niem dramatyczności, niż liryzmu. Ten p. de Simiers ze swoim babcim latem, swoimi wyznaniem, swoją rzetelnością i odrodzoną siłą—sam nie zdoła zapełnić próżni. Użył w tym celu Pailleron dwóch kobiet nieokreślonej kondycji, niby-to z „towarzystwa“, niby nie, które wydzierają sobie zdobyć, skacząc jedna drugiej do oczu, a wzajemnie obmawiają, nie siebie przecież, ale swe figury. Jedna z nich, Pepa Rimbaut, ma krew wrzącą, w drugiej, pani de Sagancy, przemaga limfa i morfina. Obie te panie nie przyczyniają się niczem do dramatyczności; służą tylko do zapełnienia miejsca, do odmalowania natury kobiecej i obyczajów francuzkich w tym kręgu społecznym, którego nie-Francuz dobrze nie pojmie, bo trudno mu będzie zawsze wyrozumieć: jakim sposobem do ucziwego domu p. Moissand mogły wejść takie panie, którym wprawdzie drzwi pokazywać byłoby zawiele, ale nie otwierać ich wcale byłoby wsamraz.

Akt drugi jest najzabawniejszy, ale pierwszy banalny, a trzeci ma swe uprawnienie tylko w potrzebie rozwiązania sztuki. Nie można zarzucić dyalogowi oschłości lub niezręczności: owszem, w tych rzeczach Francuz najgorszy nawet jako budownik i kompozytor, będzie jeszcze dobrym jako wykonawca, jako stylistyka wyrazowy. Talent Paillerona zapewnił mu piękne w wielu miejscach wystowienie, humor, nawet dowcip; wyrobione przez życie popędy i wstępy dały dały mu się utrzymać w granicach tematu czystego, wolnego i od sofistyki i od brzydoty, jaką wytwarza dziś gałganiarskie rzemiosło. Zoli i jego naśladowców, wędrujących z koszem i haczykiem, aby wywlekać śmieci i brudy z zaułków społecznych branych i dawanych za całe społeczeństwo. Ale ten talent,—w *Swiecie nudów*, dzięki satyrze, działający jeszcze z pewnem ożywieniem dramatycznym,—nie zdołał uchronić *Myszki* od tego, co jest najgorszem w literaturze i w sztuce: w całości swej wzięta komedia Paillerona jest nudną, treści w niej mniej niż słów, chwast rzeczy pobocznych zagłusza temat główny; opowiadania za opowiadaniem krzywdzą prawdziwie dramatyczny, na spotykaniu się i ścieraniu dusz polegający, dyalog. Na trzy akty roboty za wiele, a znowu jakieś *Zbudziło się w nim serce* możeby się w dwóch aktach nie pomieściło. W każdym razie akty są za długie—i nużą.

Nużą tem więcej, że gra artystów naszych—nie wiemy skutkiem czego—tym razem nie odpowiedziała zamiarom autora sztuki. Wybijającym się już z samych wyrazów tekstu. Wyjątek zrobić musimy tylko dla pani Ludowej, owej sangwinicznej Pepy Rimbaut: było tam nawet zawiele sangwinizmu, zawiele tej sfery, która w rozpościeraniu się swym mogła być ominąć wiejski pałac pani de Moissand w Touraine. Więcej miary nie zaszkodziłoby Pepie pani Ludowej; ale prócz tej miary, niczego więcej rola nie potrzebowała. Panna Czaki była jakoś dziwnie

Chreszczatej Doliny, umyślnie, aby drogę, którą Bolesław jechał, uczynić przesmykiem, nic na tej drodze nie pojawiało się. Niekiedy przebiegł po przed konie przestraszony zając lub lis ukazał swój pyszczek zza krzaków i ostrożnie wodził oczyma; grubego zwierza nie było. Rzecz oczywista, że knieja była pustą; nie też innego nie zostawało, jak zatrabzić na odwrót. Orszak myśliwski począł się tedy gromadzić, aby wyruszyć drogą na Berestowo, a ztamtąd na Krasny Dwór.

Kiedy już wszyscy gotowi byli do odjazdu.—
— No, i jakże Dobrynio, nie mi nie powiesz?—
zapytał Bolesław.

Dobrynia skłonił się królowi.

— Trzeba jeszcze gwiazd zapytać, księżycy i słońca... daj mi czas, miłościwy królu, poradzić się z niemi, a wtedy sam przyjdę na Krasny Dwór i wszystko ci powiem.

— Przyjdź, przyjdź — mówił, nawpół śmiejąc się, Bolesław — miodem ciebie uraczę i dobrem słowem...

Dobrynia kłaniał się,

— Jesteś na wszystkich łaskawy, miłościwy królu, to i dla mnie trochę swojej łaski zachowasz.

Orszak ruszył z wolna do domu, pod górę.

Tegożsamego dnia przyjechał Izasław na Berestowo wysłuchać wczerni w cerkwi Spasa, nieuprzedziwszy o tem nawet Wyszatycza. Miało to charakter niespodzianki; w gruncie rzeczy był to plan naprzód pomyślany. Tysiacki musiał go powitać z urzędu. Zmartwienie osobiste i walka, tocząca się w nim oddawna, osiadały na jego młodej twarzy i świeciły smutkiem, który coraz głębiej zapuszczał mu w duszę korzenie. Izasław, jakby nie dostrzegł tego smutku, powitał go poprzyjacielsku i radośnie. Zapytał o zdrowie, o Połowców, o stan małej załogi—i wszystkie wiadomości przyjmował wdzięcznie. Rozmawiając, zbliżyli się pod same wrota Wyszatyczego dworu.

Izasław rzucił okiem.

— A to twoje wrota?

— Mieszkanie moje, a dwór twój, miłościwy kniaziu.

Kniaz niby tego nie słyszał.

— Daj że mi, bojarynie, czaszę miodu, jeżeliś łaskaw, i w drogę ruszamy, abyśmy jeszcze Dębry zawidna przejechali.

Wyszatycz pokłonił się i do domu zaprosił.

Za pierwszą czaszą poszła druga. Izasław stawał się coraz łaskawszym. Wreszcie czas było jechać. Kniaz powstał i w oczy Wyszatycza spojrział.

— Nie wyglądasz wesoło... masz zmartwienia?

— Któż ich nie ma, miłościwy kniaze!...

Izasław rękę przyjacielsko na ramieniu Wyszatycza położył.

— Gdybyś mi był powiedział, byłbym ci może dawno z pomocą przyszedł.

Słowa te brzmiały tak, jakby Izasław o wszystkim wiedział.

— Pocóż miałem ciebie, miłościwy kniaze, mają biedą zaprzatać?

Kniaz ramię Wyszatycza ruszył.

— Wy przecie moi wierni przyjaciele... pomocnicy... wasze smutki—to moje smutki.

Wyszatycz milczał.

— Wiem o wszystkim... i pomogę ci. Ten królik porwał ci dziewczkę i więzi na Krasnym Dworze. Bądź spokojny, Wyszatyczu, zdołamy ją wyrwać z laskich pazurów... Już niedługo będziesz za nią tęsknić.

Kniaz odjechał.

Słowa jego nie przyniosły jednak Wyszatyczowi pociechy. On wiedział, że na Krasnym Dworze dzieje się inaczej: Ludę, nie żelazne kajdany przykuły do króla, ale potężniejsze od żelaznych...

Robił mu obietnice kniaz, robił Dobrynia, — ale Wyszatycz w obietnice nie wierzył. Łudził się jednak i czekał—jak zwykle ludzie się ludzą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

tępa, sztywną, w głosie niepochwytną, w ruchach niepewną, niezręczną. Pensyonarką nie była, ale miała nad sobą jakby ustawiczną groźbę: „Pamiętaj, żeś niedawno wyszła z pensyi.“ Mógł pan de Simiers ofiarowywać jej beczące cacko z guttaperki, na znak, że ją za dziecko jeszcze uważa: Marta już i dla artystki i dla widza kobietą być powinna. Panna Barszczewska nie pochwyliła objawów nerwowości, posuwającej się do morfinizmu; pełna, okrągła jej twarz także nie podtrzymywała złudzenia. Panna Noiret nie miała w grze swej tej potoczności, tego równego tempa, w jakim rozwija się Klotylda. Margrabia de Simiers w p. Leszczyńskim niezupełnie się nam malował takim, jakim go autor ukazać pragnął: malowidło jest subtelne, a gra była ostrą, niejednostajną, nieszczerą. Jest to rola najlepsza ze wszystkich; pomimo jej usterek, warto ją było lepiej opracować.

Uwagę reżysseryi zwrócić muszę na zaniedbany język przekładu, choćby tylko pod względem gramatyki, jeśli nie wysłowienia pojęciowego. Niemile razi ciągielny biernik (4-ty przypadek) w przeczeniu używany. Takich herezyi dopuszczają się niewolno. Departamentu „Touraine“ nie ma wcale we Francji; jest tylko departament Indre et Loire z miastem Tours nad Loarą. „Touraine“ jest nazwą dawnej prowincyi królewskiej.

Stanisław Krzemiński.

EDISON.

W odległości dwudziestu pięciu kilometrów od Nowego Yorku przy Drodze Żelaznej Pensylwańskiej, wznoszą się w cieniście parku kamienne zabudowania najróżnorodniejszej konstrukcyi, po nad którymi dominuje kolosalnej wysokości komin. Jeśli spytać przechodnia: co to są za budynki? otrzymuje się odpowiedź: „Menlo-Park, laboratorium Edisona.“ Tomasz Alva Edison, znakomity wynalazca setnych już aparatów, założył w Menlo-Park kolosalne, rozdzielone na kilka oddziałów laboratorium — *fabrykę wynalazków naukowych.*

Założyciel tej fabryki jest bezwątpienia jednym z najciekawszych i najznakomitszych zjawisk XIX wieku. Edison liczy dziś 42 lat życia i otrzymał już przynajmniej tysięcy patentów za swe wynalazki naukowe. Nie otrzymał tylko patentu za śmiały plan założenia wspomnianej fabryki wynalazków w Menlo-Park, która dziś znajduje się w pełni rozwoju i działalności. Z Instytutu tego wychodzi na świat codziennie przynajmniej jedna idea wynalazcza. Laboratorium Edisona i jego asyistentów i niezbędne w nim urządzenia do badań naukowych, kosztowały około dwudziestu pięciu milionów dolarów. Koszta doświadczeń corocznie kosztują 100.000 dolarów. Studycznych w rozmaitych gałęziach wiedzy, w części za stałą roczną zapłatą, w części za pobieraną od zysków tanytem, znajduje tu zajęcie. W domu przeznaczonym na maszyny parowe i dynamo-elektryczne wszystkie one mieszczą się na parterze; na pierwszym piętrze znajdują się maszyny delikatniejsze, a na wyższych — warsztaty ślusarskie i stolarskie, oddziały optyczne i mechaniczne. Długi pawilon zawiera w sobie gabinet chemiczny, archiwum, skład instrumentów, bibliotekę i gabinety prywatne założyciela i jego asyistentów. Edison, doglądający sam niezmordowanie wszystkich robót, jest człowiekiem krępy, silnie zbudowanym, średniego wzrostu, o włosach *poivre-sel*. Zupełnie ogolona twarz wielkiego wynalazcy ożywiona jest wesoło błyszczącymi, szaremi oczyma. Dobrze rozwinięta szczerka dolna i wydatne czoło nadają mu wyraz silnego charakteru i niezłomnej woli. Wogóle przypominać ma Napoleona. Na pierwsze wejście, sądząc z podziurawionego kitla i powalanych różnokolorowemi massami rąk, można go wziąć za pierwszego lepszego fotografa. W obejściu Edison jest skończonym dżentelmenem. Całe processyie odwiedzających go, które raz na tydzień ciągną do Menlo-Parku

z Nowego-Yorku, dla zwiedzenia zakładów, nie mogą się nachwalić uprzejmości i grzeczności ich właściciela: a przeciw owe massy odwiedzających go stają mu w wysokim stopniu na zawadzie w jego licznych zatrudnieniach, tak, że pewnego razu zmęczony odwiedzinami i co zatem idzie: objaśnieniami, rzekł do swych uczniów żartobliwie: „Muszę bezwarunkowo wynaleźć nowy przyrząd, odstraszący odwiedzających od Menlo-Parku.“

Cały nastrój duchowy, jak i sposób pracowania Edisona znamionują bardziej sztukmistrza, niż uczonego. Największą rozkoszą dla niego są wysiłki w pracy, całodziennie doświadczenia i próby z nowym aparatem; gorączkowe kombinacje, tyśiączne przerabianie i stosowanie nowego wynalazku, sprawiają mu najwięcej satysfakcyi. Po takich wysiłkach długotrwałych i nużących następuje sen dwunastogodzinny, biesiada w gronie przyjaciół, polowanie i t. p.

Edison zwraca baczną uwagę na wybór swych współpracowników. Muszą to być ludzie, nietylko intelligentni, wykształceni każdy w swoim zawodzie, jak najdoskonalej, lecz także rozwinięci fizycznie przed wszystkimi względami, mogący znieść wszelkiego rodzaju trudy i niedostatki. Głównym pomocnikiem genialnego wynalazcy jest Mr. Batchelor, jednocześnie i współnik fabryki; prócz niego pracuje chemik, rysownik, mechanik i t. p.

Metoda pracowania Edisona różni się w zasadzie od metody innych wynalazców. Zazwyczaj wynalazcy starają się z rzeczy znanych wyciągnąć rzecz nieznaną, stosując się wiadome do różnorodnych kombinacyi t. j., idą od znanego do nieznanego i na tej podstawie wynajdują rzeczy nowe. Systemat Edisona jest odmienny. Wytyka on sobie jakiś praktyczny cel i myśli nad środkami, któreby go można urzeczywistnić; wyszukuje materiału odpowiedniego do swych żądań.

Co do wszystkich próbowanych odkryć prowadzi Edison wraz z otaczającymi go uczonymi księgę, do której wchodzi wszelkiego rodzaju spostrzeżenia, cała historia nowego wynalazku; po zapełnieniu książka składa się w archiwum. Jako przykład przytoczamy notatkę: „*Kość słoniowa.* Materiał ten pozostawiony na jakiś czas w pewnym gatunku oleju staje się przezroczystym i jeszcze twardszym i t. d. *Kulka rtęci* pozostając w takiej a takiej substancyi pod działaniem elektryczności podlega takim a takim zmianom i t. p.“ Tego rodzaju spostrzeżenia bywają z największą skrupulatnością notowane i zachowują się w archiwum. Napozór wydają się tego rodzaju notowania mało znaczącymi, w danej jednakże chwili stanowią one bardzo cenny materiał dla wynalazcy i dziś już z tej budowy, do której cegielkę przykłada się codziennie, brać można wiedzę bardzo obficie. Gdy powstanie myśl wynalazku w głowie Edisona, natenczas wzywa on na naradę cały sztab swej pracowni i nie odpoczywa dopóty, dopóki nie przyoblecze myśli w ciało. Widziano go już jak po 5 dni z rzędu pracował bez snu i odpoczynku, odrywając się od zajęcia tylko na tyle, ile wymagało przyjęcie posiłku. Nie zna on spoczynku, dopóki nie stanie się panem powstałego projektu. Każę wówczas jednego dnia wykonać dziesięć, dwaście modeli, kombinuje ich pojedyncze części składowe, poprawia jedne, inne każde zupełnie zmieniać, dopóki nie otrzymażądanego rezultatu.

Niepotrzebne i źle wykonane modele pomieszczają się w oddzielnej wielkiej sali, obok innych, które były już przydatnymi lub jeszcze przydać się mogą w przyszłości. Panuje tu chaos, z którego jutro może powstanie nowy świat mechaniki!

Najbardziej zdumiewa w Edisonie śmiałość i wielostronność jego pomysłów i conceptów. Powiada on sobie: „To i to jest uważane za rzecz niemożliwą; trzeba uczynić ją możliwą“ — i prawie bez wyjątku osiąga cel zamierzony, zapomocą prostych z pozoru, nienaukowych środków, które sztydzą z wszelkich prawideł doświadczenia

Edison jest w całym znaczeniu tego słowa *self made man*. Umysł głęboki i wykształcony we wszystkich kierunkach wiedzy, jako dwunasto-

letni chłopiec sprzedawał dzienniki na ulicach Nowego-Yorku. Chęć do nauki już wówczas była w nim tak wielką, że wziął abonament w pewnej czytelnicy, z zamiarem przeczytania wszystkich dziesięciu tysięcy tomów, łącznie ze słownikami, jakie zawierała. Wymierzył w tym celu szafy pomieszczające książki na łokcie i postanowił pewną miarę codziennie odczytywać, co też punktualnie skuteczniał.

Edison jest synem ubożego krawca z Ohio; w 12-tym roku życia zaczął tułać się jako kolporter gazet. Sprzedając gazety przez czas dłuższy, wpadł na pomysł przedrukowywania treści artykułów i sprzedawania ich w plakatach; w ten sposób powstała w niedługim czasie nowa gazeta z telegramami i t. p. W 16-tym roku życia dobił się własnej drukarni i zamienił swą gazetę codzienną na tygodniową pod tytułem: „Paul - Pry“ (Paweł Wścibski). Zdaje się, że pismo było najzupełniej redagowane według tytułu, gdyż pewnego pięknego dnia, wpadł ktoś dotknięty ową niedyskretnością nieobwijającą niczego w bawełnę do redakcyi i porwawszy młodego wydawcę za kołnierz, wywłócił go i wrzucił do rzeki. Na szczęście, Edison jest dzielnym pływakiem i nie utonął. Wypadek ten zrobił mu wielką reklamę, ogłoszono go znakomitym dziennikarzem, z czego on przecież nie skorzystał. Zwrócił się, od wielu lat mając ku temu zamiłowanie, do studyów elektro-technicznych i po kilku miesiącach wynalazł sposób przesyłania po jednym drucie telegraficznym kilku depesz jednocześnie. Towarzystwo telegraficzne zaprosiło go do swego grona. Później, w niedługim czasie otrzymał znaczną ilość patentów na nowe wynalazki, z których potrafił wyciągnąć takie korzyści, że mógł w Nowym-Yorku założyć własną fabrykę przyrządów elektrycznych. Odtąd podwózenie go nie odstępowało.

Ostatniem, genialnem dziełem Edisona jest ulepszenie jego fonografu, którego treściwy opis pomieszczony został w N. 17 „Bluszczu“ z r. b.

J. S.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań we Wrześniu u 1888 r.

Nascitur ridiculus mus — miałoby się ochotę powtórzyć, patrząc na lichy skutek zapowiadanego tak szumnie zjazdu historyków niemieckich w Poznaniu. Miał on udowodnić istnienie na naszym gruncie staro-germańskiej kultury zapomocą wystawy archeologiczno-historycznej, miał skupić w Ogrodzie Przemysłowców wszystkie tętą i prądą nowoczesnej, w duchu pruskim, historyografii. Tymczasem, jakby na dowód, że prawdziwi uczeni wnoszą się nad tendencyjne demonstracje namiętności chwili, żadne poważniejsze nazwisko nie błysnęło w pocście zebranych tu dziejopisów, żadna większa znakomitość naukowa nie zaszczerpiła swą obecnością poznańskiego zjazdu. Ograniczyło się to zgromadzenie prawie wyłącznie na miejscowych historykach, z przymieszką kilku nieznanych, przeważnie semickiego pochodzenia, gości, oraz udziałem świata urzędowego. Dziwne wrażenie sprawiał zjazd uczony, któremu, nie naukowe powagi, lecz naczelny prezes prowincyi i generał kommanderujący udzielali głównego poparcia i blasku. Oczywiście, z takim składem uczestników kongresu nie zaznaczył się żadną doniosłością obrad lub przemów. z wyjątkiem odezwy prezydenta miasta, p. Müllera, pełnej bezstronnego umiarkowania, a wzywającej swych rodaków „do spółubiegania się razem z Polakami w dochodzeniu prawdy, co jest najpiękniejszym zarazem i najtrudniejszym zadaniem mężów pióra i pracy.“ Wszystkie inne mowy i dyskusye tchnęły jedynie germańską zaciekłością, której terażniejszość bynajmniej nie wystarcza, chodzi jej nadto o przywłaszczenie sobie na własność przeszłości i jej pomników. Wszakże professorowie niemieccy głośno

wykładają, iż dwa są tylko okresy w dziejach, których wpływ na rozwoju ludzkości uznać należy, oto jeden, pogańsko-helleński, drugi zaś chrześcijańsko-germański. Światy romański i sławiański dla tych jednostronnych umysłów nie istnieją wcale. Uczestnicy zjazdu nie taili się bynajmniej ze swymi przekonaniem i pewnikami, na których opierają przykrojoną do własnych, biurokratycznych, pojęć budowę dziejową. Zwiedzając, na przykład, że źle tajonem zdumieniem szacowne zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dowodzą: że autochtonami piastowskich dzierżaw byli Germanowie, których stopniowo Polacy wyparli z odwiecznych ich siedzib. Ztąd wszystkie archeologiczne zabytki odnieść wypada do pangermańskiej spizarni i jakiegoś przedhistorycznego *Vaterlandu*.

Czełgodny prezes Towarzystwa, hr. August Cieszkowski, oprowadzający, ze zwykłą, wykwiętą uprzejmością, obcych gości po salonach muzealnych, z uśmiechem przysłuchiwał się tak naiwnym annexom pseudo-uczonych niemieckich, którzy na każdym kroku dawali dowody niedostatecznego wykształcenia; ożywiały ich jedynie tylko duch politycznej nienawiści, a nie umieli nad nim zapanować, nawet przy wspólnym zwiedzaniu katedry i pamiątek gnieźnieńskich. Ogłoszenie konkursu z nagrodą tysiąca marek za najlepszą pracę z dziedziny przewincjonalnej historii Wielkopolski uważać można za jedyny bodaj rzetelny wynik kilkodniowych obrad, w których więcej było biesiad wspólnych, zabaw i toastów, aniżeli uczonych rozpraw.

Sama też wystawa nie lepiej się udała. Jedyną rękomią jej świetności mógł dać udział skarbców kościelnych, w których ukrywają się jeszcze prawdziwe arcydzieła. Niestety! dużo z nich uległo zniszczeniu i rozproszeniu, zwłaszcza w początkach tego wieku, gdy kassata zakonów wystawiła na łup chciwych antykwarzy najcenniejsze księgozbiory i pamiątki klasztorne. Mnóstwo ich wówczas dostało się do Anglii i nazawsze dla kraju zginęło. Ale wśród tego, co zostało, wyróżnić jeszcze można wiele rzeczy pięknych, o znaczeniu artystycznym i historycznym zarazem. Hr. Alexander Przedziecki w swych *Wzorach sztuki średniowiecznej* wznowił i rozszerzył wiadomości o niejednym zabytku wspaniałej przeszłości, ukrytym w zakrystyach świątyń wielkopolskich. Znanca nieposledni sztuki chrześcijańskiej, hr. Montalembert, zaliczał kielichy św. Wojciecha i Dąbrówki do rzędu arcydzieł, a unosił się nad pamiątkami zachowanymi w Gnieźnie i Trzemesznie. Gdyby te skarby wyostać i umieścić w sali gimnastyki na Placu Zielonym, świetność wystawy byłaby niezawodną i zapewnioną.

Inicytorowie zjazdu wzięli się tedy skrzętnie do rzeczy, wywierając nacisk na arcybiskupa, ażeby swemu duchowieństwu polecił wydanie cenniejszych zabytków kościelnych. Przeczując, ileby tym nakazem uraził uczucia swych owieczek, i ze względu na charakter agitacyjno-polityczny zjazdu, arcybiskup wzdragał się z udzieleniem żadanego upoważnienia, zyskał na czasie, i dopiero w ostatniej chwili uległ, zostawiając wszelako dozorom kościelnym wszelką swobodę nadesłania lub zatrzymania swych skarbców. Niewiele też pamiątek pobożności przodków daszych dostało się na salę wystawową, i ztąd całość dziwnie nędznie wyglądała, a co więcej, niczem nie stwierdziła owej germańskiej przeszłości, którą w nas historycy niemieccy wzmóc usiłują. Dział archeologiczny, ze swym szczupłym zasobem urn i wykopalisk, stwierdza słowiańskie tylko obyczaje i pierwiastki. Późniejsze zabytki wyłącznie do polskiej odnoszą się historii. Kilka portretów Sobieskiego się tu znalazło, a tego już chyba, choćby dla samej fizjonomii, na Niemca przerobić trudno. Jest i piękny wizerunek Augusta II, i portret Stanisława Augusta i kilka prywatnych obrazów, między innymi przysłany przez miasto Rawicz konterfekt Jerzego Mycielskiego w stroju markiza. Kościoły kalwińskie chętniejszą przyłożyły rękę do uświetnienia wystawy. Stolica wielkopolskich dyssydentów, Leszno, dostarczyła sporego pocztu pośmiertnych blach i tablic srebrnych. Najciekawszą stroną tej ze wszech miar ubogiej wy-

stawy są niewątpliwie oznaki cechowe, których względnie znalazło się dość dużo, choć nierównie więcej oporne nie wydały cechy. Ale i tu jakoś żadnego nie zdobyto dowodu na poparcie germańskiej kultury, rzekomo tu niegdyś rozsiadłej; bo jakkolwiek starożytnie bywają one cechowe godła, dyplomy podpisywane są i pieczętowane przez polskich monarchów i kanclerzy.

Wystawa tak uboga w przedmioty skupiła się naokoło popiersi trzech pruskich monarchów i panującego dziś cesarza, a zpośród jego poprzedników, Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma II. Wybór tych ostatnich z całego szeregu panujących, najwymowniej świadczy o hasłach, pod jakimi rzeczony zjazd i wystawę urządzano. Zresztą, nie postarano się bynajmniej o artystyczny układ przedmiotów wystawowych; nie przyciąga też ona ani też nie ściąga ciekawych. Pierwszego dnia po jej otwarciu znalazłem się samotrzeć w obszernej sali gimnastycznej.

Nie było znać żadnego ruchu ani ożywienia ulic podczas zjazdu historyków; natomiast manewra piątego korpusu armii napełniły wrzawą i hukiem szeroką przestrzeń naszej prowincji, i pozwoliły nam się przypatrzeć temu spotęgowanemu za dni naszych militaryzmowi, zwanemu już niegdyś przez sławnego Mirabeau narodowym Prus przemysłem. Trudno zaprzeczyć, że machinę wojenną doprowadzono tu do niebywałej doskonałości, zwłaszcza pod względem administracyjnej organizacji i ładu. Atoli *fortuna mutabilis* — stare powiada przysłowie i trudno nie pomyśleć o tem: co by się stało, gdyby choć jedno kółeczko tej skomplikowanej machiny się zluźowało lub zepsuło, i naraz wszystkie inne stanęły? Zbyt doskonałe wewnętrzne urządzenia tem niebezpieczeństwem grozić zwykły. Cokolwiek bądź, mieliśmy tu świeżo popis nielada; ziemia się trzęsła, powietrze urygało od ciężkich armatnich wystrzałów i ustawicznej tyralierki; wszystkie obroty dziesięcioletniego wojska wykonane były ze zdumiewającą precyzją; rynsztunki i mundury błyszczały: widok wspaniały, a jednak zasmucający. Czyliż kwiatem cywilizacji nowoczesnej ma być jedynie sztuka bratobójstwa, wydoskonalenie środków morderczych?

Przelotne odwiedziny Cesarza Wilhelma II na naszej ziemi miały charakter czysto-militarny. Nie wychylił się on poza obóz i plac manewrów, a obecność jego na różnych punktach pola ruchów wojskowych poznać było można zdaleka, po purpurowym sztandarze państwa, w ślad za nim niesionym. Wznowiony ten ze Średnich Wieków obyczaj, oddawna był poszedł w zaniebanie i dziś dopiero młody władzca wskrzesił go z zamarłej przeszłości, wraz z mnóstwem innych ceremoniałów, uwydatnionych mianowicie przy otwarciu sejmu i wróżnych obchodach urzędowych. Słotna jesień utrudniała manewra wojskowe a zaciężyła nad materyalnym stanem księstwa, i tak już bardzo smutnym. Nie mieliśmy wprawdzie strasznych burz, atoli przeciągłe i gwałtowne ulewy w wielu miejscach niepowetowane sprawiły szkody.

Bank Ziemiński, zacieśniony się w skromniejszych rozmiarach i szczyplejszym zakresie, ukonstytuował się ostatecznie, powołując na dyrektorów dwóch mężów godnych zewszecmiar zaufania: p.p. Pągowskiego i Kalksteina Teodora. Ten ostatni złożył już dowody praktycznej znajomości bankowych interesów.

W tej chwili wszystkie wysilenia i zachody skupiają się w przygotowaniach do blizkich wyborów, zapowiadających się niebardzo pomyślnie. Potępienie nacisku wyborczego przez cesarza Fryderyka, którego ostatnim czynem było oddalenie biegłego w tej sztuce mistrza, ministra Puttkamera, stanowiło przelotny tylko objaw, a zachowawczość pruska przystępuje podawnemu do użycia wszelkich godziwych i niegodziwych środków, byle sobie zapewnić zwycięstwo. Niestety! sztucznie przez wchrzycieli podżegana nieufność do naszych połów, wstrząsnęła ścisłością naszych dotąd zgodnych szeregów, i słuszne powstają obawy, aby jeszcze i ten czynnik rozkładowy nie pogorszył już i tak oplakanego położenia.

Z dziedziny piśmiennictwa plon u nas zawsze niewielki, a to, co się znajdzie, przeważnie jest lichem. Autor dość cennych monografi historycznych, Dr. Stanisław Karwowski, mniej pomyslnie uprawia niwę belletrystyczną. *Podróż jego do Paryża i Londynu*, jest arcydziełem naiwności nieświadomej; inaczej chyba nigdy te luźne karty nie były się dostały do druku. Pan Teodor Żychliński zebrał w pęk wspomnień dawne nekrologi i artykuły dziennikarskie, o niesmacznie pochwalnym nastroju. Zdawałoby się, iż nasze biedne, skarłowaciałe pokolenie samych tylko z siebie wydawało bohaterów, gdyby zawieźć jego pośmiertnym zapiskom.

Kronika działalności kobiecej.

— Dowód wielkiej siły charakteru i uczucia dała kobieta z ludu, Warszawianka: Agnieszka Tuszewska. Mąż jej, Tomasz Tuszewski, wzięty do wojska, został przeznaczony do Turkiestanu, zkad początkowo pisywał do niej, donosząc, że często zapada na zdrowiu i czuje się coraz słabszym. Wkrótce przecież listy te ustały i biedna kobieta, pełna serdecznego niepokoju, powzięła heroiczny zamiar dostania się do niego i z małą sumką, niespełna 100 r.; puściła się w daleką drogę, w kraj nieznan. Wyjechała d. 18 Kwietnia 1885 r., a niedawno, bo 15 Września, wróciła w żałobie, więcej niżeli wdowy, bo z sercem rozdartem przez zawód okrutny. Tomasz Tuszewski, rzeczywiście słabego zdrowia, został na tej zasadzie uwolnionym od służby, ale do kraju nie wrócił i osiadłszy na miejscu, ożenił się z inną, co wykryło przybycie opuszczonej, gdy zwróciła się do władz w celu wywiedzenia się o losie męża. Wzięty do więzienia za dwużeństwo, umarł, a nieszczęśliwa zdobyła się znowu na podróż długą i w warunkach jej położenia jakże ciężką! Wróciła do kraju.

— Zamiar utworzenia w Warszawie stałego bazaru pracy kobiecej, podjęty przed rokiem przez kółko zacnych pań, które chcą przyjść z pomocą potrzebującym pracy siostrom swoim, jest blizkim urzeczywistnienia.

— Do egzaminu w Muzeum Pszczolniczym stało kobiet 22 (obok 30 mężczyzn). Świadectwa ukończonego kursu nauki otrzymało 16, a mianowicie: Bartlewiczówna Michalina, Bernatowiczówna Antonina, Bielajewówna Anna, Grodzicka Janina, Miłoszewska Joanna, Noskowska Marya, Olszewska Marya; Paszkowska Teodora, Przygocka Marya, Rogowska Stanisława, Sawicka Karolina, Sempolowska Stanisława. Sztremer Julia, Wójcikowska Władysława, Wołoszowska Marya, Zaborska Felicya.—Niektóre z wymienionych pań wyuczyły się tylko pszczolnictwa i niektórych działów ogrodnictwa; inne, pszczolnictwa, ogrodnictwa, jedwabnictwa i wyrobów z miodu. Praktykantki składać będą jeszcze egzamin z majsterstwa, czyli budowy uli.

— Do sal rysunkowych przy Muzeum Przemysłowem uczęszcza, po ich otwarciu powakacyjnem, kobiet 50. Wtorki, Czwartki i Soboty są przeznaczone dla kobiet; Poniedziałki, Srody i Piątki dla mężczyzn. Tych bywa w salach rysunkowych około stu.

— Nowa, piąta szwalnia dla ubogich dziewcząt otwartą zostanie w Grudniu. Towarzystwo Dobroczyńności pragnie, aby mogła znaleźć pomieszczenie w nowo-wybudowanym domu hr. Branickiego przy ulicy Książęcej. Fundusz zebrany na założenie szwalni jest 2.000 rubli.

— Adelina Stutz, uczennica monachijskiej szkoły, czyni starania w celu założenia w Warszawie szkoły malarstwa dla kobiet.

— Szkoła sług w połączeniu z kantorem stręceń ma być założoną w Warszawie, jeszcze w roku bieżącym. Na czele przedsięwzięcia, bardzo pożytecznego, jeżeli odpowie zadaniu, staje p. Leon Bertel. Szkoła pobierać będzie za kurs nauki, trwać mającej od 3 do 6 miesięcy, naj-

więcej 50 rs., za to uczyć będzie: gotowania, prania, prasowania oraz sprzątanía pokoi, czyszczenia dywanów i garderoby. Szkoła będzie zatem uzdalniać kucharki, praczki, młodsze, oraz kucharzy i lokai.

— W Krakowie poświęconem zostało d. 10 Września przy Ulicy Biskupiej nowe zgromadzenie: „Córka miłości Bożej“, mające na celu kształcenie dziewcząt z ludu na dobre sługi i uczciwe w kierunku obowiązków swoich i pojęć o życiu oświecone istoty ludzkie. Zgromadzenie to cieszy się wielką popularnością w Austrii; że potrzebnem było w Krakowie, dowodzi fakt zapisania się zaraz 60 uczennic. Protektorką zakładu jest hr. Adamowa Petocka, przełożoną siostra Röhr.

— Na wystawie rolniczej w Wilnie jest wystawczyń kilkadziesiąt; z pomiędzy tych otrzymały nagrody: hr. Marya Potocka z Wysokiego-Litewskiego pod Brześciem, za zboże medal złoty; Hr. Marya Przędzińska za len medal srebrny. Listy pochwalne otrzymały: pp. Marya i Jadwiga Jełowickie, oraz p. Pieńkowska za kury, p. Białozierska za konserwy owocowe, hr. Tyszkiewiczowa z Waki za wino jagodowe. Prócz tego p. Sielankowa ze Świeca otrzymała 15 rs. za gęsi. W liczbie sędziów znajduje się p. Kamińska. P. Stefania Porazińska, przedstawiła poza wystawą malowidła na aksamicie, jedwabiu, marmurze i majolicie.

— Praca ziemianek naszych w dziale hodowli drobiu zaczyna się zaznaczać w budżecie przychodów krajowych i wywozowy nasz handel jajami oraz gęmi zapisuje się tam poważną już liczbą. *Gazeta Radomska* donosi w korespondencji z Sandomierza, iż dziennie przybywa tam przez Zawichost na wywóz do Austrii od 200 do 300 sztuk gęsi, w cenie 75 kop. do 1 rs. i 5 k. *Korresp. Płocki* pisze, że w pierwszej połowie Września przepędzali handlarze gęsi przez Golub po 2.000 sztuk dziennie. Po dniu 21 Września przepędzonych tamtędy gęsi, było 80.000 sztuk; są one wyprawiane koleją do Niemiec. Otworzyć nam się może podobnie w dziale ogrodnictwa handel wywozowy śliwek suszonych do Ameryki. Jakkolwiek przychodzi z tamtąd do Europy wiele suszonego owocu, ale brak śliwek węgierskich sprawia, że agenci tamtejsi zwracali się do naszych handlarzy owocu z żądaniem dostarczenia im dobrze suszonych śliwek, wspomnianego gatunku.

— W Baltimore p. Zofia Oblęcka, Polka, otrzymała pierwszą nagrodę konkursową za podręcznik okulistyki. P. Oblęcka jest doktorem medycyny.

— Księżna de Galliera wniosła w okolicach Paryża na wzgórzu Clamart, z widokiem na dolinę Sekwany, dom schronienia dla starców płci obojej, mieścić mogący 104 osób. Arcybiskup paryżki poświęcał budynek wzniesiony ze względem możliwej wygody i dobrobytu jego mieszkańców. Obecnie mieszczą się już tam 52 osoby, należące do wyższej klasy towarzystwa, ale zubożałe.

— Pomimo że Francya wydała bardzo wiele kobiet zaznaczających się w literaturze i naukach, jak Sévigné, Staël, Sand, nigdy kobieta nie została przypuszczoną do grona akademików francuzkich, i ztąd powstała obecnie w Paryżu myśl wzniesienia akademii kobiecej, która dawałaby również tytuł do nieśmiertelności. Pierwszą na liście, którą układają w Paryżu promotorowie niewieściej akademii, jest poetka, M-me Ackerman, rzeczywiście wysokiego talentu i głębokiego umysłu kobieta, ale z posępnym i pełnym goryczy poglądem na życie. M-me Dieulafoy weszłaby tam jako podróżniczka zasłużona nauce przez archeologiczne swe prace

i poszukiwania, M-me Gréville i Ouïda, która jest na poły Francuzką przez długie zamieszkiwanie we Francyi, mają za sobą wyższy talent powieściopisarski, ale reprezentowanie nauk społecznych i politycznych przez M-me Adam, która mimo to, że jest redaktorką *La Nouvelle Revue*, nie może być brana poważnie przez nikogo z umysłem poważnym, już nie rokuje akademii kobiecej stanowiska prawdziwie wyższego. Żartem zaś być musi głos, podnoszący się za biedną, nawpół zwaryowaną Ludwiką Michel.

— Uczona entomologistka angielska, spełniająca urząd entomologa przy angielskiem *Towarzystwie Rolniczem*, miss Ormerod, pisze w sprawozdaniu swem za ubiegłe półrocze, iż szkody poczynione w zbożu przez owady dochodzą w Anglii do ogromnej liczby 33 na 100. I jeżeli wróble będą i nadal tępione w Anglii, jerzyki i jaskółki nie zdołają usunąć wszystkich szkodliwych owadów, sprawiających w zbożu zniszczenie owiele większe, niż wartość ziarna, spożytego przez to ptactwo. „Jest ekonomia natury, do której człowiek tylko z wielką uwagą i rozumnym namysłem mieszać się może“ — pisze Miss Ormerod.

— Miss Marya Macperson, bogata Szkotka, zamieszkująca w Ameryce, w Nowym Yorku, ofiarowała miastu brązowy posąg Roberta Burnsa, narodowego poety szkockiego, kosztujący 5.000 funtów, czyli 125.000 franków. Posąg, postawiony w parku Waszyngtona, odsłonięty został w d. 2 Września przy wielkim współdziale ludności, zwłaszcza szkockiego pochodzenia, a miasto całe było przybrane we flagi szkockich pleców i szkockie godła ostu. Andrzej Carnegie, Szkot, publicysta, używający w Nowym Yorku wyższego znaczenia, przemawiał, przedstawiając słuchaczom charakterystykę poezji Burnsa i jej znaczenie, jej wpływ wywierający się na uczucia Szkotów, jako takich. Pisma angielskie zwracają przy tej okoliczności uwagę na pomnik niedawno wzniesiony Wallasowi, na historycznej równinie, będącej niegdyś polem zwycięskiej bitwy Szkotów z Anglikami. Pewne przygasłe na pozór iskry uczucia zdają się budzić w sercach Szkotów na niekorzyść Anglii i prassa angielska, należąca do stronnictwa Gladstone'a, zwraca na to uwagę i wykazuje, że sprawy irlandzkie zdają się rozdmuchiwać to żarzewie.

— Królowa regentka hiszpańska zyskuje sobie serca ludu przez szczególnie troskliwe zajęcie się dziećmi klas ubogich. Przebywając w letniej swej rezydencji San. Sebastian, królowa, odziana bardzo skromnie i zostawiając za sobą daleko powóz, wychodziła codziennie nad wieczorem na najdalsze ulice miasta, a nierazdko i na wsie okoliczne, gdzie zbliżała się do matek i dzieci najbiedniejszych, darzyła je, obok poważniejszej zapomogi zabawkami i przysmaczkami różnemi, dając przytem matkom rady co do wychowania i zdrowia dzieci, którym opowiada niekiedy o swoim synku małym. Jest to praca matki dla przyszłości tego syna.

— Warunki sanitarne fabryk polepszają się szczęśliwie. Każda fabryka zajmująca więcej nad 30 robotników obowiązana została do utrzymania stałego lekarza, felczera i posiadania apteczki podręcznej na potrzeby pracowników swich.

— W Pradze wyszły z druku rozmowy czesko-polskie. Autor ich, prof. Hora przygotowuje znaczniejsze już wydawnictwo: słownik czesko-polski.

— Kassa imienia Mianowskiego udzieliła zapomogi na wydanie książki p. Justyna Geislera: „Rys dziejów czeskich“, która wkrótce wyjdzie z druku.

— Wielce pożyteczne wydawnictwo podjęte zostało przez dobrze piśmiennictwu naszemu zasłużoną spółkę księgarską Gebethnera i Wolfa: „Biblioteka dla samouków.“

— Pod sekretem! — to tytuł nowej komedii, napisanej przez Edwarda Lubowskiego.

— Dziesięciocentowe wydanie „Pana Tadeusza“ rozszło się we Lwowie w 15.000 egzemplarzy i obecnie bije się drugi nakład stereotypowy w ilości 20.000 egzemplarzy.

— Henryk Rodakowski kończy powierzoną mu pracę przyozdobienia pendzlem swoim gmachu sejmowego we Lwowie. Na płótnach mających 17 metrów długości, a które ozdobią salę obrad, przedstawił czterech prawodawców starożytnych w otoczeniu pięciu postaci alegorycznych. Po bokach tych obrazów, które będą wystawione na widok publiczny najpierw w Krakowie a potem w Wiedniu, pomieszczone jeszcze będą dwie alegorie: „Wiara“ i „Praca.“

— Barbarzyńskie świętokradztwo spełnione zostało jednocześnie w Poznańskim i w Prussach Zachodnich. We wsiach, zakupionych na kolonizacyą, ściego w nocy dwa krzyże i potrzaskane rzucono do wody.

— Wystawa Paryżka ma być otwarta d. 23 Kwietnia 1889 r., a zamknięta d. 19 Października. Wystawa każdego poszczególnego kraju dzielić się będzie na 9 grup: 1) przedmioty sztuki; 2) wychowanie, nauczanie, pomoce naukowe, sztuka stosowana do przemysłu; 3) meble, sprzęty, urządzenia domowe; 4) tkaniny, odzież, przedmioty użytku osobistego; 5) produkta surowe i przerabiane przemysłu wytwórczego; 6) maszyny i przyrządy mechaniczne, elektryczność; 7) artykuły spożywcze; 8) gospodarstwo wiejskie i rybołówstwo; 9) ogrodnictwo. Ostateczny termin przedstawienia deklaracyi co do okazów jest d. 27 Października b. r. Przedmioty nadesłane na wystawę wolne są od cel, rewizyi celnej i opłat miejscskich. Powracające z wystawy okazy będą u nas wolne od cła. Przewodniczącym sekcji warszawskiej wysyłania okazów jest inżynier Diehl, interessa sekcji prowadzi p. St. Łoza.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: *Katarzyna Regina*, przez Waltera Besant'a.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności znajduje się 16 ochron, do których uczęszcza 3.952 dzieci.

TREŚĆ. Carpe diem, poezya, przez J. Nitowskiego. — Czytanie rodzinne. — Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — Ze spuścizny olbrzyma, (dalszy ciąg), przez Miriam'a — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Korespondencya zagraniczna, Poznań. — Edyson, przez J. S. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: *Katarzyna Regina*, przez Waltera Besant'a - 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu